

Jak wszyscy wiedzą, znany polski superbohater, Pan Samochodzik, prowadził nieuregulowane życie uczuciowe. Niemal każda książka o jego przygodach kończyła się sceną z dłońmi jakiejś pięknej kobiety w jego dłoni, a w kolejnym tomie nie było już nawet śladu po biedaczkę. Co się działo w międzyczasie, wiedział tylko autor. Doszedłem do wniosku, że Pan Samochodzik konsumował kolejne związki pomiędzy oficjalnymi przygodami, a potem się z nich jakoś wywijał. Postanowiłem w miarę możliwości uzupełnić luki w biografii naszego ulubionego bohatera. Przed Państwem odcinek zrekonstruowanych międzyprzygód Pana Samochodzika. Oczywiście do lektury zachęcam wyłącznie osoby, które ukończyły 18. rok życia.

Pan Samochodzik i dumna Dunka

Gdy nawiązywałem nie pozbawiony elementów gry intelektualnej romans z piękną Karen Petersen, nie przypuszczałem, że w mojej wybrance tkwi demon. Choć z drugiej strony, pewne objawy dały się zauważyć, jeśli ktoś umiał patrzeć. Zainteresowanie techniką motoryzacyjną, opowiadanie, ile cylindrów ma lincoln papy Petersena, liczenie tychże cylindrów w moim wehikule, potem odejmowanie tych dwóch liczb od siebie... Powinno mnie to ostrzec, byłem jednak ślepy jak mucha łątka jednooczką, znana z leczenia na ośle, w dodatku z przechylem na jedną burtę. Ja też leciałem na ośle i też miałem przechył. Nie ujawnił się on w czasie miodowego miesiąca spędzonego awansem w zamku nad Loarą (ścigaliśmy tam złodzieja średniowiecznych inkunabułów, świadczących niezbitcie o staropolskim pochodzeniu rzeki, którą pierwotni mieszkańcy tych ziem nazywali Lurą). Niestety, zetknięcie Karen z moją służbową kawalerką w skrzydle gmachu Ministerstwa ujawniło pewne niezgodności.

– Tomashu, co to jest? – głos mojej narzeczonej dobiegał z dużego pokoju o powierzchni 12 metrów (ja sam znajdowałem się akurat w toalecie). – Nie wiem, skarbie! – odkrzyknąłem dziarsko, poprawiając jednocześnie garderobę. Spłuczka zawtórowała wyciem. Karen stała przy oknie, oglądając moje radio Taraban, pod-

rasowane przez wuja Gromiłę – zapoznanego wynalazcę – do standardu Taraban 2. Radio za pomocą skrętki komputerowej (która zostanie wynaleziona dopiero w latach 80.) łączyło się z gramofonem Mister Hit na licencji Telefunken. Temu systemowi zawdzięczałem wiele miłych chwil i niekiedy całkiem intymnych momentów, miałem bowiem najlepsze sprzęcicho w naszym wydziale i kobiety (przyznaję to z pewnym wstydem) lgnęły do mnie jak do miodu.

– Darling – Karen złagodziła ton głosu. – Wiesz dobrze, że nie mam wymagań lokalowych i w zamku Szambò bez szemrania gniotłam się w komnacie gościnnej bez klimatyzacji. Zdaję sobie też sprawę z pewnych dysproporcji gospodarczych pomiędzy naszymi krajami, wynikających z imperialistycznej polityki USA, z którą, jako osoba odczytana, się nie zgadzam. Jednak jestem kobietą Zachodu o potrzebach kulturalnych, do których zalicza się muzyka. A ty nie masz nawet magnetofonu – piękna córka Wikingów najwyraźniej zmierzała do konkluzji. – W związku z tym jutro rano idziemy do sklepu – zakończyła z impetem.

– Ależ duszko, zdajesz sobie chyba sprawę, że na skutek sankcji prezydenta Niksona moja pensja stanowi równowartość dwóch kaset magnetofonowych firmy Bayerische Anilin und Soda Fabrik! Mogę wprawdzie skorzystać z zapomogi

Ministerstwa na remont mieszkania, ale ona wystarczy na następne cztery kasety. A skąd jeszcze magnetofon? – kwiliłem. Karen wyraźnie się zafrasowała. Wiedziałem, że nie chce mi sprawić przykrości, ale standard papy Petersena nie przyzwyczał jej do takich rozterek. Po czasie doszedłem do wniosku, że brakowało jej zrozumienia dla subtelnych kompromisów życia. Na razie podzieliliśmy się słoikiem z klopsami w sosie pomidorowym („Klopsiki jak z IKEA!” – pokrzykiwała niezrozumiale moja ukochana) i temat został chwilowo poniechany. Myślałem, że już po wszystkim.

Gdy następnego dnia, po ośmiu godzinach ciężkiej pracy biurowej, wróciłem do domu, zorientowałem się, że coś zaszło. Korytarz budynku był pokryty dziwnym pyłem, który po zbadaniu okazał się tynkiem z sufitu. Drzwi wejściowe do mego mieszkania wyraźnie poruszały się w tył i w przód z amplitudą około centymetra. Grała też chyba jakaś muzyka, ale słuch postradałem w pewnym stopniu w czasie podwodnych poszukiwań Bursztynowej Komnaty; nie groziło mi więc rozpoznanie melodii. Czułem natomiast, jak obrywa mi się żołądek. Z bezgłośnym trzaskiem otworzyłem drzwi.

Wystrój mieszkania uległ zmianie. Teraz trzy czwarte powierzchni salonu zajmowały kanciaste czarne skrzynie z napisem Altus. Odchodziły od nich grube druty jakby od żelazka (w takie czarno-białe wzorki), które łączyły kolumniska z innymi czarnymi skrzyniami, nieco mniejszymi, które migały kolorowymi oczkami. Na wersalce siedziała ekstatycznie zaśluchana Karen, obok stała skrzynka piwa z Peweksu. Kolumny ryczały piosenkę o rosyjskim nicponiu Rasputinie. „Oh, those Danes!” – jęknąłem w zgodzie z utworem.

Zawsze byłem zwolennikiem ciszy. Karen nie zauważyła mej ucieczki. Tu, gdzie jestem, jest całkiem wygodnie. Gdy przyjdzie jesień, przęśło Mostu Poniatowskiego zasłoni mnie przed opadami. Do Ministerstwa chodzę jak zawsze i właściwie brakuje mi tylko łazienki, ale Wisła jest blisko. Koledzy donieśli, że narzeczonej domaga się od wszystkich mego powrotu, ale na zimę wybierze prawdopodobnie wygodny rodzinny kraj i system hi-fi swego ojca. Pomyśleć, że gdy zapraszałem ją do siebie, miałem nadzieję, że z tą techniczną pasją weźmie się za naprawę zepsutych gniazdek czy czegoś podobnego. Jeszcze nigdy tak fatalnie nie trafiłem.

Alek Rachwałd